



## BOHDAN ZALESKI.

W SPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Ostatni z grona poetów, którzy jak świetne gwiazdy jaśnieli obok wielkiego wieszczą naszego Mickiewicza, Bohdan Zaleski zamknął powieki d. 31 Marca r. b. Był on już bardzo sędziwy, ociemniały, niedawno wykonana operacya nie powiodła się, nie przywróciła mu wzroku, zgon ten był zatem przewidziany, a jednak wieść żałobna bolesne wywołała wrażenie we wszystkich zakątkach kraju.

Józef Bohdan Zaleski urodził się d. 14 Lutego r. 1802 we wsi Bohatyrce w gubernii kijowskiej. Według starego stylu był to dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, a narodzone dnia tego dziecię bardzo prędko utraciło matkę, gdyż poeta w wierszu swoim „W dzień Gromniczny”, tak pisze o sobie:

Święć się nam w sercach, domowa pamiątko!  
Ów syn, o matko, ledwie przeżegnany,  
Twe pogrzebowe, gromniczne dzieciątko,  
Piastuje lutnię między chrześcijany.

Mało bardzo mamy wiadomości o pierwszych latach życia Zaleskiego, od dzieciństwa wiódł on życie tułaczę, ojciec, niewiadomo z jakich powodów, nie chował go u siebie, a po śmierci matki przeniósł się gdzieś daleko na Litwę. Sierota do dziesiątego roku

Bohdan Zaleski.



mieszkał u ciotki w wiosce Medwedówce, czas jakiś w latach dziecinnych spędził w leśnym ustroniu, w starego pasiecznika. Wówczas to zapewne poetyczna dusza chłopięcia rozmiłowała się w uroczej ukraińskiej przyrodzie, którą później tak opiewać umiał. Potém druga ciotka zabrała go do Jerczyk i tam rozpoczął naukę wspólnie z kilku innymi rówieśnikami, także sierotami na opiece owój ciotki. W liście pisanym w latach późniejszych do siostrzeńca, Bohdan Zaleski opowiada o zabawnych wybrykach z czasów dzieciństwa.

„Raz ubrdało mi się w głowie, pisze, że jestem stworzon do latania. Przez wiele dni potajemnie przyrządzałem sobie jakieś skrzydliśka z deszczółek i gęsich piór, aż jednego razu, rozmachawszy się należycie, puściłem się z dachu do lotu i padłem na piasek, niemal pod nogi ciotki, na osobliwe szczęście bez najmniejszego uszkodzenia”. Później znów przyszło mu do głowy wybrać się na wojnę do Napoleona I i z karabinkiem drewnianym wyruszył w drogę. Schwymano go dopiero we wsi sąsiedniej i do ciotki odprowadzono.

Nauki odbywał najpierw w szkołach w Humaniu, potém kończył je w Warszawie, tu zawiązał serdeczne stosunki z Odyńcem, Lelewelem, Szopenem i wielu innymi znakomitościami ludźmi. W czasach późniejszych okoliczności zmusiły go do opuszczenia ziemi rodzinnej, przez całe życie tułał się po obczyźnie, różne zwiedzał kraje, dopiero na starość osiadł stale w okolicach Paryża, w wiosce Villepreux, gdzie też życia dokonał. Serdeczne stosunki przyjaźni łączyły Bohdana Zaleskiego z Mickiewiczem, który go cenil bardzo wysoko.

Utraciwszy córkę zameżną, w owém zaciszu wiejskiém pod Paryżem mieszkał razem z pozostałą po niej wnuczką Bohdaną i zięciem, doktorem Okinżycem, który także niedawno umarł, i to podobno zgon sędziwego poety przyspieszyło.

Poezye Bohdana Zaleskiego odznaczają się cechą całkiem odrębną, są dziwnie śpiewne, pełne uczucia, pieśniarz to był w całym znaczeniu tego wyrazu, słowik stepowy; z nieporównaném mistrzostwem słowa, z miłością głęboką umiał opiewać tę piękną ziemię, na której ujrzał światło dzienne, cudne krajobrazy ukraińskie, fale dniewrowe, stare kurhany, szumy i odgłosy stepów. W dumach jego i pieśniach mowa nasza zachwyca wdziękiem, śpiewnością, pięściwością, zdaje się, że już wyrazy same są śpiewem i muzyki nie potrzebują. Dość przytoczyć naprzykład tę śliczną dumkę:

### ŚPIEWAK TĘSKNIĄCY.

Nigdyż serce stęsknione  
Mar minionych nie prześni?  
Wiecznież w jedną gdzieś stronę  
Zaczaruje me pieśni?

\* \* \*

Jak świat długi, szeroki,  
Z lutnią moją podróżną,  
Zmieniam miejsca, widoki,  
Ale zmieniam napróžno.

\* \* \*

Przez miejsc tyle, chwil tyle...  
Každy dla mnie zakątek,  
Wszystkie, wszystkie tu chwile,  
Są bez wrażeń, pamiątek.

\* \* \*

I to serce, o dziwo!  
Tak czujące dziś mało,  
Indziej bito tak żywo,  
Tak płomiennie kochało.

\* \* \*

Ach! przed mokrą powieką  
Darmo dzień mi tu płonie!  
Wzrok, jak pieśni, daleko,  
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

\* \* \*

Ku niej tęsknię z wieczora,  
Z jutrznią tęsknię i płaczę...  
Bom pożegnał nie wczora  
I nie jutro obaczę!...

### Do serc młodych!

Serca to są niewątpliwie dobre i kochające, bo też odkać bić poczęły, przenikać je musiało uczucie wdzięczności za wszystko dobre, którém szczęśliwe dziecko szczęśliwych rodziców jest obdarzoném od kolebki. Matka i ojciec kochają je, pieczą, strzegą od przykrości i cierpienia; domownicy pracują na zadowolenie jego potrzeb, nauczyciele oświecają umysł jeszcze ciemny, udzielają mu wiedzy, która z czasem uczyni z nie wiedzącej istoty rozumnego człowieka. Dziecko jest za to wdzięczne; kocha Boga, kraj swój, rodziców i wszystkich dobrych ludzi, ale kochać to nie dość jeszcze i dziecko powinno o tém pomyśleć, że biorąc tak wiele od innych, powinno oddać za to komuś choć cośkolwiek. Jest jeszcze małe, jest jeszcze niedorosłe i wiele uczynić nie może, czy przecież nie zdołałoby się zdobyć na jakiś czyn dobry, przez który spłaciłoby choć część długu, zaciągniętego przez to jego szczęśliwe istnienie na świecie? Oto są dzieci biedne, dzieci ubogich rodziców, którym brakuje bardzo wielu rzeczy, którym zbywa nietylko na przyjęnościach, ale na zadowoleniu tych potrzeb koniecznych, aby mogły wyrastać zdrowe i silne i radzić sobie potém dobrze na świecie. Biedne te dzieci i ci rodzice, którzy choć kochają je niemniej jak bogaci, nie mogą jednak karmić ich obficie, nie mogą im dać pomieszkań przewiewnych i wesołych, ani łatwo wywieźć je na wieś, gdzieby odetchnęły świeżem powietrzem, użyli błogich chwil pod jasnym blaskiem słońca.

Nie można jechać darmo koleją, nie można zamieszkiwać darmo tych ludnych domków, wśród których rodzice szczęśliwych dzieci używają przyjemności letniego pobytu na wsi, ale są ludzie tkliwego serca, ludzie dobroczynni, którzy pomyśleli o biednych słabowitych istotach, wydziedziczonych z dobrodziejstw tych letnich wyjazdów i starają się urządzić dla nich „kolonie letnie“; czyż zatém dzieci, które mają dany sobie przez rodziców grosz jakiś na zabawki lub przysmaczki, nie powinny się poczuć do pewnego współdziałania w dobroczynném tém dziele? Niechby każdy młody czytelnik tych słów dał cośkolwiek, myśląc, że te datki drobne razem zebrane mogą utworzyć sumę i stać się czynem dobrym — dobrego czynu zasługą, bo niejedna słaba, blada, cierpiąca dziecina ubogich rodziców wróciłaby do zdrowia, błogosławiąc rękę poczciwą, która wyciągnęła się z tym datkiem miłosiernym.

Niech młode serduszka uderzą, niech się wzruszą takim uczuciem szlachetnym, a z kolei i dziecko bogate, dziecko zamężne, lepiej, weseliej użyje lata, bo przy uczuciu dobrego czynu, powietrze stanie mu się świeższem, słońce będzie mu świeciło jaśniej, jakgdyby Bóg sam wychylił się z błękitu i błogosławił je za spełniony obowiązek ludzkości.

Marya Ilnicka.



# ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dalszy ciąg).

Stary cieśla spojrział ze zdumieniem na Henryka, te słowa wyglądały na żarty. Czyż można było w takiemu nieszczęściu upatrywać dobrą stronę! Widział jednak, że młody oficer mówił to w dobrej wierze, nie miałyby przecież serca żartować w tej chwili. Ale Henryk takie już miał szczęśliwe usposobienie, że wszystko sobie umiał na dobre wytłómaczyć. Ta ufność jego w Opatrzność i w potęgę silnej, wytrwałej woli i odwagi, która wśród najtrudniejszych okoliczności wydzwignąć może tego, kto ręk nie opuszcza, udzieliła się w końcu i staremu cieśli. Powiedział więc sobie także na pociechę, że skoro w każdym razie postanowili puścić się na wschód, lepiej już zrobili dzicy, uwożąc w tę stronę kapitana z rodziną, aniżeli by mieli odpłynąć w przeciwną.

— Z tém wszystkiem, nie jedliśmy obiadu i nawet nie zanoszą jakoś na to — odezwał się w tej chwili jeden z majtków, odznaczający się niezwykłym apetytem.

Mówił to zupełnie z taką miną, jakgdyby miał za złe kapitanowi, że dał się wziąć w niewolę, nie pomyślawszy wprzód o przygotowaniu posiłku dla swoich podwładnych chociaż wiedział o tém doskonale, iż powrócą głodni z wycieczki. Może i do Henryka z tego powodu czuł trochę żalu, miał bowiem to głębokie przekonanie, iż pierwszym obowiązkiem przełożonych jest pamiętać o wszystkich potrzebach tych, którym rozkazują, w czém nawet miał wielką słusność.

Henryk wszedł w jego położenie i radby był naprawić niedbalstwo kapitana Ganeya. Napróżno jednak oglądał się na wszystkie strony i wliczał w myśli rozmaite płody tej ziemi, w tej chwili nic nie było pod ręką, oprócz berberysu. A wtém, zwróciwszy wzrok na zatokę, zauważył gromadkę mew, latających nisko ponad wodą. Ptaki te widocznie zawzięty spór wiodły pomiędzy sobą, a gdy młodzieniec spojrział w dół, obaczył w miejscu, nad którym mewy krążyły tak hałaśliwie, przedmiot biały pływający na powierzchni wody. Rozpoznał wkrótce z zadowoleniem, że to były dwie ogromne ryby, związane sznurkiem. Zapewne wysunęły się z łódki dzikich ludzi. Ryby te były za duże i za ciężkie, aby je mewy unieść mogły, swarzyły się tylko o tę zdobycz, wrzeszcząc i bijąc skrzydłami.

— Otóż to dla nas gratka, co się zowie — rzekł Henryk, zdejmując obuwie i wchodząc do wody. Z łatwością pochwycił ryby z przed nosa mew, które tém do prawdziwej rozpaczki doprowadził. Krzykliwe ptaki gromadnie za nim goniły aż do samego brzegu, latając mu ponad głową i ogłuszając swym przeraźliwym wrzaskiem. On jednak nie zważał na to i nie miał wcale ochoty uwzględnić tych wymagań, śpieszył do brzegu, niosąc dwie przepyszne, świeżuteńkie makrele.

Widok ten przyniósł zasmuconym marynarzom trochę pociechy. Upieczono naprędce obie ryby, jedną spożyto natychmiast z wielkim smakiem, drugą zachowano na śniadanie jutrzejsze. Tymczasem i noc zapadła, mała gromadka ułożyła się do snu pod drzewami, aby sił nabrać i rano wyruszyć na drogę.

Nazajutrz przed wschodem słońca wszyscy już byli na nogach i niezwłocznie puścili się w podróż. Postanowili przedewszystkiem nie oddalać się zbyt daleko od wybrzeża, najpierw, ażeby drogi nie zmylić, a potem dlatego, że w morzu prędzej zawsze mogli znaleźć pożywienie, aniżeli na lądzie. Najprostszą było rzeczą iść ciągle przy samym brzegu cieśniny, a jednak po radzie z Seagriffem, Henryk uznał za najrozsądniejszą, że będą wędrować ogromnymi zygzakami, zrana zdążając w kierunku ukośnym ku wyż-

nom, z których mogli widzieć rozleglejsze przestrzenie lądu, a co wieczór powracając ku brzegom morskim, aby się posilić i przemocować. Droga coprawda nadzwyczajnie się tym sposobem przedłużała, gdyż zamiast dziesięciu mil w linii prostej, musieli przejść conajmniej dwadzieścia pięć w takim zygzakowatym kierunku. Lecz tak zawsze łatwiej mogli się uchronić od spotkania z krajowcami, gdyż ci rzadko kiedy oddalają się od morza, a był to dla nich wzgląd bardzo ważny, nie mieli bowiem broni.

Wędrowcy nasi trzymali się ściśle tego planu, a powróciwszy wieczorem na brzeg morski, rozkładali się obozem w jakim zakątku, osłoniętym skałą lub drzewami, ogień zaś ropalali w głębokiej jamie, wygrzebaniej w ziemi, ażeby nie mógł być widziany zdaleka.

Zwykłem ich pożywieniem były muszle, zbierane na wybrzeżu lub na ławicach szuwarów, jeśli je napotkali, znajdowali też często jagody po lasach. Kiedyniekiedy udało się im zejść z nienacka i zabić kijem młodą fokę, wtenczas mieli zapas mięsa na parę dni. Nie wszystkie części foki są równie smaczne, lecz połówca i głowa stanowią pokarm wyszukany, w niczém nie ustępujący cielęcinie. Seagriff nawet dokazał tyle, pracując długo i wytrwale, że wydrążył kłoc z twardego drzewa, w którym można było ugotować polewkę z ziół, a nie brakło do tego dzikiej rzerzuchy i innych roślin aromatycznych. Jeden z majtków uprawiał się w rzucanie kamieni z procy i już takiemu nabył zręczności, że mu się nieraz udawało zabić ptaka na gałęzi. Jeśli natrafił na papugę, niewielki był z tąd pożytek, rosół tylko gotowano, gdyż mięso tego ptaka jest twarde i niesmaczne. Lecz gdy przyniósł dziką kaczkę, wyprawiano ucztę co się zowie. Zwłaszcza pewien gatunek, właściwy Ziemi Ognistej, tak zwana kaczka parowiec (steamer) wszystkim smakowała niezmiernie.

Jest to duży ptak, ważący do dwudziestu funtów i dochodzący niekiedy metra długości. Głowę ma ogromną, dziób szeroki, silny, rozgryza nim muszle, któremi się zwykle żywi. Skrzydła ma za krótkie i za słabe do lotu; służy mu tak samo, jak strusiom, do przyspieszania biegu, a chociaż jest pletwonogi, bieży z taką chyżością, że przebywa czasem dziesięć mil na godzinę. Kaczka parowiec pływa też równie szybko po wodzie, a przytém uderza o wodę skrzydłami z szelestem, jak parowiec łopatkami swych kół, ztąd pochodzi dziwna jej nazwa. Znakomity przyrodnik Darwin pierwszy zauważył, że ptak ten porusza skrzydłami kolejno a nie jednocześnie, w czém różni się od reszty rzeszy skrzydlatiej.

Codziennie wędrowcy widywali tysiące fok i otaryj. Raz mieli przed oczyma osobliwszy widok, foka samica uczyła malca swego pływać. Wzięła go najpierw za pletwę, jakgdyby go pod pachę trzymała, i unosiła ostrożnie na powierzchni wody. Potém raptem rzuciła go dość daleko, zmuszając tym sposobem, aby sobie sam dawał radę. Gdy jednak spostrzegła, że biedny malec zdyszany był i znużony, podpłynęła zaraz do niego i znowu go za pletwę pochwyciła. Gdy odpoczął trochę, popchnęła go powtórnie naprzód i nastąpiła nowa próba samodzielnego pływania, a lekoya ta trwała dość długo. Mała foka z początku brała się do tego bardzo niezgrabnie, lecz po godzinnej wprawie, zaczęła się popisywać coraz większą odwagą, radując serce matki.

Ciekawsze jeszcze i osobliwsze widowisko wyprawiły im wieloryby. Pewnego ranka ujrzeli po samym środku kanału dwa olbrzymie cielska, płynące jedno za drugim. Niekiedy wieloryby podpływały tak blisko do brzegu, że możnaby wiośłem do nich dostać, chwila przystawały i oddychały z hałasem, wyrzucając w powietrze strumienie wody, która rozbrzgała się szeroko, spadała z szumem aż na drzewa nadbrzeżne, jak deszcz rześisty. Zdaleka strumień taki wyglądał, jak piękny wodotrysk, otoczony mglistym obłokiem, który na słońcu przybierał blask srebrzysty. Wieloryby pływały tu i owdzie po kanale, jakby igrając, potém znów puszczały się w dalszą drogę. Przybyły od zachodu i płynęły w kierunku wschodnim. Oczywiście przepływały się z jednego oceanu do drugiego tą samą drogą, którą rozbitki upatrzili jako



najdogodniejszą dla siebie. Czemuż nie mogli także odbywać morzem tej podróży!...

Życzenie to miało być niezadługo spełnione. Nazajutrz po owym spotkaniu z wielorybami, podróżnicy nasi wybierali się właśnie z noclegu w dalszą drogę, gdy usłyszeli w pobliżu, od strony wody, głosy ludzkie, co ich niezmiernie zaniepokoiło, jak łatwo sobie wyobrazić. Henryk Chester dał znak towarzyszom, aby się nie ruszali z miejsca, sam zaś na czworakach dostał się na samą krawędź nadbrzeżnego urwiska, wznoszącego się o kilkanaście metrów nad powierzchnią morza i położył się tam w taki sposób, aby mógł widzieć, co się dzieje na wodzie, nie będąc ztamtąd widzianym.

Obaczył duże czółno uwiązane do brzegu u stóp skały. Dwunastu Elikolepów uwijało się po wybrzeżu, jedni już ogień rozpalali, gdy drudzy dopiero przygotowywali rybackie przyrządy, chcąc korzystać z odpływu morza.

Henryk zauważył odrazu, że przeciw zwyczajowi swemu nie mieli psów przy sobie, co go uspokoiło, gdyż te zwierzęta najprędzej zawsze zwęszają obecność białych. Z początku myślał więc tylko o tém, jakby się ukryć przed wzrokiem dzikich. Lecz po chwili zuchwały pomysł powstał w jego głowie.

— Czemużbyśmy nie mieli sobie przywłaszczyć czółna tych niegodziwców?... Czy warto się unosić delikatnością dla tych ludzi, którzy nas traktują jak wrogów, przyjaciół naszych wzięli w niewolę, a gdyby mogli, z pewnością nas wymordowali bez wahania? Podstęp wojenny w takim położeniu jest przecież rzeczą zupełnie godziwą, a porządne czółno takby się nam przydało!...

Ta myśl tak mu się podobała, że natychmiast powrócił do towarzyszy z takiemiż samemi ostrożnościami, ażeby najlżejszym szelestem nie zdradzić przedwcześnie swojej obecności. Skinął na majtków i przedstawił im plan swój półgłosem.

Przedsięwzięcie okazało się możliwe do wykonania. Było ich siedmiu przeciw dwunastu i posiadali przecież rewolwer. Mogli liczyć na to według wszelkiego prawdopodobieństwa, że wystrzał spłoszy dzikich i że w pierwszej chwili przynajmniej głowy potracą. Szło tylko o to, czy zamokłe naboje czasem nie zawiadą. Dotychczas ich nie wypróbowano, nie chcąc marnować tak szacownego skarbu i obawiając się zważyć wystrzałem dzikich. Seagriff nie zaniedbał jednak osuszyć starannie tych nabojów, wieszając je u pasa, ażeby przez dzień cały wystawione były na działanie słońca.

Wszyscy zgodzili się na to, że należało poprobować szczęścia; z ośmiu nabojów choć parę przecież musiało być już dostatecznie osuszonych, a więcej nie potrzeba było na to, aby przestrach wzbudzić w obozie dzikich.

Seagriff dał chwalebny przykład subordynacyi, chciał bowiem ustąpić swego rewolweru Henrykowi, który był jego przełożonym, jako oficer. Lecz młodzieniec za nic nie chciał przyjąć tej ofiary, oświadczył stanowczo, że ponieważ stary cieśla szczęśliwym trafem zdołał tę broń uratować, sam też powinien był jęj używać.

Wszystkie te narady odbywały się szeptem i wędrowcy przystąpili niezwłocznie do wykonania swojego planu. Stało się na tém, że Henryk z trzema majtkami miał udać się manowcami o kilkanaście kroków dalej, podczas gdy Seagriff z dwoma pozostałymi zbliżył się o ile możności do łodzi. Szło o to, aby z dwóch stron na raz napaść niespodzianie na dzikich i tém ich zmieszać i przerazić. Mała gromadka rozdzieliła się tedy, Henryk miał dać znak do ataku gwizdnięciem, stanąwszy na stanowisku.

Cały ten manewr wykonany był z zadziwiającą zręcznością. Henryk i towarzysze jego ukryli się za skałą nadbrzeżną tak doskonale, że słyszeli głosy Elikolepów, którzy ich widzieć nie mogli. Weszli cichuteńko do wody i ciągle zasłonięci skałą, która pochylała się ponad nimi, postępowali ostrożnie, jeden trzymał w ręku włócznię drewnianą, drugi maczugę, trzeci procę, a Henryk siekierkę kamienną, którą

znalazł w opuszczonej obozowisku. Szczęście chciało, że dzicy siedzieli wszyscy przy ogniu, zajęci przyrządzaniem jedzenia i nie zważali zbytecznie na to, co się dokoła nich działo.

A wtém Henryk gwizdnął nagle i poskoczył naprzód, ukazując się zdziwionym dzikim. W tejże samej chwili z drugiej strony pojawił się Seagriff ze swoimi towarzyszami. Stary cieśla wycelował do jednego z dzikich, który mu się wydał wodzem, nacisnął rewolwer, ozwał się strzał, a dziki, ugodzony w prawe ramię, zaczął krzyczeć w niebogłosy.

Przerażeni tą niespodzianą napaścią, wyobrażając sobie, że strzały śmiertelne posypią się teraz jeden za drugim, dzicy zupełnie stracili przytomność, żaden nawet własnej broni nie pochwycił i wszyscy się rozbiegli, jedni powskakiwali do wody, ratując się wpław, inni popędzili ładem w różne strony.

Gdy tak nieprzyjaciel opuścił pole walki, nie próbując nawet obrony, zwycięzcy nie omieszkali skorzystać z położenia, co żywo łódź odwiązali, wskoczyli do niej i odpłynęli.

W kwadrans znajdowali się już po środku kanału, wiosłowali z zapalem, a chociaż zdobyte czółno było bardzo proste, zupełnie pierwotnej budowy, niesło ich jednak chyżo, a co więcej, odkryli w niem ku wielkiej swęj radości mnóstwo pożytecznych przedmiotów, jak skóry fok rozmaite narzędzia z drzewa i kamienia. W godzinę byli już daleko, stracili z oczu urwistą skałę, która była widownią bohaterkiego ich czynu.

#### XIV

#### Nowe zawikłania.

Czółno trzymało się wybornie i płynęło szparko, zwłaszcza gdy przytwierdzono doń żagiel, dowcipnie sporządzony z wierzchnich ubiorów rozbitków, poczepianych naprędce za pomocą igły z ości i włókien roślinnych. Prąd fali unosił lekki statek prawie bez pomocy wiosł, śpiesznie więc posuwali się żeglarze nasi wzdłuż kanału Beagle'a.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ujrzeli wprost przed sobą wyspę, czy też wybrzeże lądu, bo nie mogli tego rozpoznać. Kanał w tém miejscu rozdawał się widłowato; Seagriff utrzymywał, że to musiały być wyspa Dyabelska, radził zatrzymać się tu i wypocząć, gdyż wyspa ta jest bezлюдna, a mgła podnosiła się ponad wodą, zapowiadając noc bardzo ciemną. Henryk zgodził się na to z ochotą, lecz dla uniknięcia wszelkich niemiłych niespodzianek, wydał rozkaz, aby czółno wyciągnięto na brzeg i ukryto w gąszczach dla bezpieczeństwa.

Załatwiwszy się z tém szybko, żeglarze zaczęli szukać zapasów żywności, gdyż głód im na dobre dokuczał. Natrafili wkrótce na dużą chatę kwadratową, pobudowaną z ogromnych pni drzewnych, z dachem urządzonym z gałęzi. Mieszkanie to musiało być oddawna opuszczone, gdyż bujne zielska i trawy otaczały je dokoła. Nie było ono wcale podobne do chat, stawianych zwykle przez krajowców Ziemi Ognistej, wyglądało raczej na dzieło rąk europejskich. Seagriff, znający dokładnie dzieje wyspy Dyabelskiej, objaśnił, że tę chatę pobudowali majtkowie okrętu „Beagle”, który był wysłany przez rząd angielski dla obejrzenia tej ziemi pod dowództwem dzielnego kapitana Fitzroy. Wiedział także, skąd pochodziła nazwa wyspy Dyabelskiej, było to zdarzenie bardzo zabawne. Jeden z majtków angielskich usnął pod drzewem, na którym gnieździł się olbrzymi pułacz. Przerażliwy wrzask ptaka tak go przeraził w nocy, że przypisywał to złym duchom, zamieszkującym Ziemię Ognistą i dziwne rzeczy opowiadał o swojej przegodzie; wkrótce wykryto prawdziwą przyczynę jego trwogi, niemniej jednak nadano wyspie nazwę Dyabelskiej.



## Miasto Tarya.

Rysunek nasz przedstawia malowniczy niezmiernie krajobraz w Boliwii, w Ameryce południowej. Dokoła wznoszą się góry wysokie, urwiska, a na rozległej płaszczyźnie widać miasto, na europejski sposób zbudowane, zwane Tarya. Dziwna to jest kraina, gdzie cywilizacja tak blisko sąsiaduje z puszczą. Podróżnik znajduje w Taryi wszelkie wygody, hotele dobrze utrzymane, a puściwszy się w dalszą drogę, od razu natrafia na okolice zupełnie puste, albo zamieszkałe przez dzikie plemiona. Mieszkańcy europejskiego pochodzenia w ciągłej prawie rozterce żyją z tymi krajowcami.

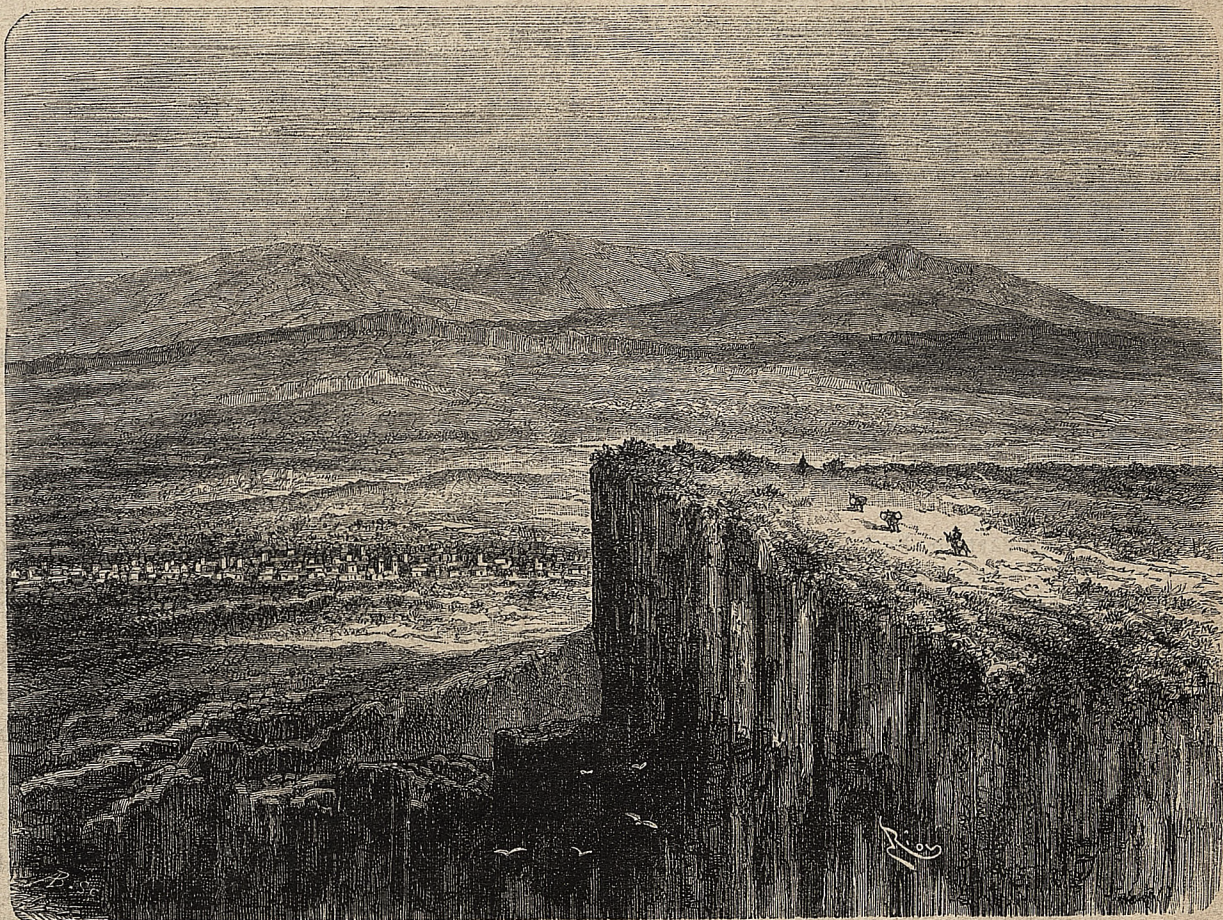
czyni — zapal lampę w sklepie, bo prawie już ciemno, i zaspokój gości, którym ja sama zadosyć uczynić nie mogę.

W chwilę lampa zapłonęła jasno, oświetając sklep duży dosyć, a Tola, zwróciwszy się do stojącej najbliższej wiejskiej kobiety, zapytała grzecznie:

— Czy po ów niebieski tybet na sukienkę dla Justysi przysłiecie znowu? o, widzę, że zgadłam, bo Justysia zarumieniła się, jak wisienka, na samą myśl posiadania tak pięknej sukienki.

— A Bogać, panienko kochana — odrzekła kobieta zbliżając się — toć ona mi spokoju nie daje, ino prosi: kupcie matulu, i kupcie, co by się na Wielkanoc ustroić można.

— Więc tak lubisz się stroić? — zapytała Tola, zwraca-



Miasto Tarya.

## PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

— W tej chwili — rzekła Tola, kładąc śpiesznie do koszyka zawiniętą w papier robotę, co uczyniwszy, wyszła bożnymi drzwiami. Ewcia pobiegła za nią, a p. Krystyna ustawiała krzeselka, zbierała różne ścinki od roboty, rozrzucone po podłodze, starła kurze, i obrzuciwszy wzrokiem cały pokój, opuściła go.

— Tolu droga — rzekła babunia de wchodzącą dziewczyną do młodej, ładnej dziewczyny, która ze wstydem przysłała sobie oczy fartuchem.

— Oj, ona do ustrojenia to jedyna — wyreczyła matka zapytaną — ale do roboty się leni, wszystko jej się widzi ciężkie; taki to świat teraz, mój Jezu kochany, a czy to tak bywało, jak ja byłam dziewczuchą? Kupili ojcowie płócienną drukówkę do roboty, na święto merynusu zielonego, chusteczkę na głowę i tyła, gorsecik czarny ściągany na tasiemkę, fartuch czerwony, to i człek myślał, co niewiem jak ubrany.

A teraz ta lichota — dodała, wskazując na zapaloną dziewczuchę — to wymyśla sobie halegancye, o jakich się dawniej i nie śniło.

— To wszystko dobrze — rzekła Tola, rozkładając zdany materiał — że młoda dziewczyna ubrać się lubi, to może i nic dziwnego, tylko, że jak mówicie do roboty się leni, to jakoś niebardzo mi się podoba.



— Taki jednak prawda, panienko — rzekła matka, oglądając jasny niebieski tybet — już my ta z tój dziewuchy wielkiej uciechy mieć nie będzie, bo ona się tylko ogląda za delikatną robotą.

Tola spojrzawszy bacznie na młodą dziewczynę i zamyśliła się chwilę, a potem rzekła do niej łagodnie:

— Chodźże, Justysiu, zobacz dobrze to, co ci się tak bardzo podobało; jednakże, gdybyś chciała posłuchać mój rady, nie kupiłabyś tego na sukienkę.

Dziewczyna niechętnym wzrokiem spojrzawszy na mówiącą, a kobieta zapytała ciekawie:

— A to dlaczego, panienko?

— Bo to jest materyał nietrwały, kolor prędko na słońcu zmieni się na siny z niebieskiego, i pokaże się, że z pięknej sukienki krótka będzie radość — mówiła Tola z uśmiechem.

— O mój Jezu — rzekła wieśniaczka ze zdumieniem — a toż to panienska gani swój towar, zamiast zachwalać; a dyć jak byłam w miasteczku i oglądałam takusieńkie same, to Mośkowa mówiła, że to suknia choćby ukropem parzyć i na bielniku rozkładać nie zmieni się ani odrobiny.

— Mośkowa mogła to mówić — odrzekła Tola — ale ja nie mogę; po tём, co wam powiedziałam, jeżeli chcecie kupić, to sprzedam, ale ostrzedz was było moim obowiązkiem.

— A po co to panienska ma w sklepie? — zapytała kobieta, w której zrodziło się podejrzenie, że dla niej nie chcą może tego pięknego tybetu sprzedać.

— Dlatego, że się o taki tybet pytają ciągle — odpowiedziała Tola — gdyby więc nie było w sklepie, omówionoby nas, że nic pięknego nie trzymamy. Każdemu jednak odradzamy to kupno, i oto prawie cała sztuka leży, gdyż tylko na fartuch na wesele kupiła jakaś kobieta. A teraz posłuchajcie mnie, zrobię wam jedno pytanie: czy nie oddalibyście Justysi na naukę do nas, skoro jak mówicie, do ciężkiej roboty nie ma chęci?

Wieśniaczka roześmiała się.

— Pewnikiem panienska żartuje, bo i czegożby ta dziewucha nauczyć się tu mogła? — rzekła lekceważąco, gdyż dla niej niepojęte były wszelkie prace, oprócz tych, które zwykle koło gospodarstwa robiła.

— Nauczy się różnych robót pięknych — rzekła niezrażona uwagą wieśniaczki Tola — mamy tu już trzy takie dziewczuszki, wasza byłaby czwarta. Możecie zapytać sołtyśki w Żabinie, której córka uczy się u nas od trzech miesięcy, kowala dziewczynka także przychodzi na robotę, i z Wólki od włodarza trzecia. Idźcie do tych domów, przepytajcie się, bo wielką mam ochotę na waszą dziewczuszkę, choć się stroić lubi, i powiadacie, że leniwa. A tego niebieskiego nie kupujcie jej na sukienkę, jeszcze raz wam to odradzam.

Podczas całej tój rozmowy, dziewczyna nie spuszczała oczu z Toli, policzki jej gorzały, a gdy matka kiwała głową niedowierzająco, dziewczyna przypadła jej do kolan i zawołała radośnie:

— Dajcie mi tu przyjsć, matulu kochana, już nie chcę i sukienki niebieskiej, już nie chcę nic od was, tylo pozwólcie uczyć się tego, co i tamte dziwuchy się uczą. Toć macie jeszcze w chałupie Antoškę i Marychnę, to bezemnie się ta obejdzie łącno.

— Jezusie kochany, czy panienska urok rzuciła na tę dziewuchę! — rzekła kobieta, składając ręce — a toż ona i sukienki nie chce, no, no, istne dziwy! Ale myślisz, że to tak zaraz można? Trza się dobrze z ojcem naradzić, co powie, zobaczymy, przepytamy, żeby dziecka na zatracenie, bez urazy, nie dać.

Tola uśmiechnęła się z obawy wieśniaczki, i na tём się kupno skończyło, że niebieski tybet poszedł na swoje miejsce nietknięty, a kobieta, pożegnawszy babunię i Tolę, odeszła z córką, która ręce Toli całowała serdecznie.

Wkrótce w sklepie nie było już kupujących, Tola prosiła, aby babunia poszła wypocząć po trudzie dziennęj pracy i męczącym gwarze, a sama, zostawszy w sklepie, zaczęła składać

niektóre towary, wyjęte dla ostatnich gości. Na twarzy dziewczęcia był uśmiech zadowolenia, rozglądała się po sklepie z rodzajem dumy, tyle tam pięknych było rzeczy, jak na krótki czas od założenia, gdyż zaledwie upłynęło cztery miesiące, gdy dziewczęta po raz pierwszy wzięły łokieć do ręki. A nie same tylko towary znajdowały się tu, były i piękne gotowe czepeczki, i fartuchy haftowane kolorowemi włóczkami, robota Jadwini i Ewci, były gotowe koszule kobiece i męzkie, ładne pończochy w różnych kolorach, praca babuni, i wiele, wiele innych rzeczy, których wymieniać niepodobna. W jednym kącie sklepu stało ze dwadzieścia koszyków pięknie wyplatanych, których dostarczał wuj Kazimierz, jako też i kapeluszy słomianych, a tych dopiero wisiało parę, gdyż do lata było jeszcze daleko, i jedynie dla pokazania, że ich tu dostanie, gdy będą potrzebne, umieszczono je w miejscu widoczném.

Zamiary zatem dziewcząt przyprowadzone zostały do skutku, i nadszpodziewanie wiodło im się dobrze. Z początku było trochę nieufności ze strony wieśniaków, a raczej wieśniaczek, gdyż sklep przeważnie dla kobiet był założony, nie było w nié m bowiem ani sukna, ani kapot i t. p. rzeczy. Ale powoli, gdy jedna i druga odważyła się na kupno towaru od *pani tabich* i przekonała się, że dobrze na tём wyszła, zaczęto po wszystkiek udawać się do czerwonego domu, gdyż tak powszechnie prawie nazywano sklep nowy, o którym wiedziano już niemal w całej okolicy.

Sąsiednie dwory, dowiedziawszy się o upadku majątkowym p. Wolskiej, o pracy i zapobiegliwości jej córek, jednomyślnie postanowiły, aby o ile możności popierać ich pracę i przyczyniać się, nie tylko do utrzymania, ale i powiększenia założonego sklepu. Nie znano osobiście tój rodziny w okolicy, widywano ją tylko w kościele, ale tam nie zwracała na siebie niczém ogólnęj uwagi; z wielką jednak, sympatyczną, życzliwością spoglądano na taką nowość, jak sklep na wsi założony przez kobiety wykształcone, gdyż i o tём dowiedziano się ze szczegółami. Poczęły się więc sypać zamówienia na koronki i hafty, oddawano do roboty suknie i bieliznę, żądano sprowadzenia różnych towarów, tak że wkrótce sklep łokciowy zaczął się łączyć z galanteryjnym. Naraz we wszystkich prawie dworach okazała się gwałtowna potrzeba koszyków, koszyczków i słomianek do sieni, więc i praca p. Kazimierza miała zbyt ogromny, a przysparzała dochodu. Babunia z robotą pończoch nadążyć nie mogła, w czém i p. Krystyna dopomagała dzielnie w godzinach, w których inną pracą zajęta być nie mogła.

Namawiano do nauki koronek i innych robót dziewczęta zrzęczniejsze, i *leniwe* do cięższej pracy, jak to mieliśmy przykład z Justysią, i tym sposobem już cztery uczennice miała Tola, cierpliwa i łagodna nad wyraz przy wykładaniu nauki, o której dziewczęta dotąd najmniejszego nie miały wyobrażenia. Trudności te jednak nie zrażały i nie przykrzyły się szlachetnemu dziewczęciu, bo w sercu jej zostały słowa wuja Kazimierza, o spełnieniu wysokiego posłannictwa człowieka na ziemi, a które to posłannictwo nie tylko w wielkich i bohaterkich leży czynach, lecz i w cichęj, wytrwałęj pracy, w szerzeniu światła i wiedzy w małym kółku, które nas otacza. Wujcio mówił, że większą bohaterką jest ta kobieta, która wśród pracy na kawałek chleba dzień jednak każdy zaznaczy względem swych bliźnich jakąś zasługą, aniżeli ta, która raz w życiu zdobędzie się na czyn wielki i heroiczny, Tola o tём pamięta przy nauce wszystkich dziewcząt, którym zawsze potrafi powiedzieć coś takiego, co rozjaśnia ich nmysł, i budzi lepsze, szlachetniejsze uczucia w tych sercach, do których dotąd nikt nie pukał w imię wielkiej, bratniej miłości.

Dwa lata upłynęły od powyżęj opisanych wypadków, przed czerwonym domkiem zieleni się śliczny trawnik, mnóstwem kwiatów obsadzony, w pośrodku, tak samo jak przed starym dworkiem, stoi młoda lipa, która sporém już zaszadzona drzewkiem, przyjęła się jednak, ku wielkiej radości dzieci a szczególnie Jadwini. Lipa szumi wesoło szerokimi



liśćmi, przekomarza się może z pszczołami, których całe roje obsiadło jęj kwiaty. Na trawniku leży Figielek, korzystając z ostatnich promieni słońca, które już, już ma się skryć poza brzoźowym laskiem. Przed domem, pod młodem kasztanami, przechadza się kilka pięknych czubatek kokoszek, czatujących na chrabąszcze, które wiatr strząsa od czasu do czasu. Do wejścia na trawnik nie bierze ich nawet pokusa, wiedząc dobrze, że Figielek nie darmo na nim leży dzień cały, a choć ma niby przymknięte oczy, widzi doskonale, jeżeli która na żarty tylko posunie się ku kwiatom. Figielek, choć się podstarzał i utył, biega jednak doskonale, a zęby jego nie straciły ani na białości, ani na chęci chwytania i wrywania po parę piórek psotnym i nieposłusznym kurkom.

Po lewój stronie czerwonego domu założony ogródek wcale pokaźnie wygląda ze swemi młodziutkimi drzewkami. W ogródku jest kilka ulic, wysadzonych agrestem i porzeczkami, trochę to po staroświecku, ale widocznie nie tracą tu zbyt wiele czasu na modne upiększenia, lecz mają na celu wygodę i korzyść, a może i zbyt mało jest miejsca na kwiaty zbyt kosztowne. Ciszę przed domem przerwała kłótnia dwóch kur czubatek, które wcale niegrzecznie wydzierały sobie biednego chrabąszcza, a sprawiły się tak hałaśliwie, że obudzili śpiącego Figielka, który podniósł się, ziewnął szeroko, spojrzął obojętnie na bijące się kury, i zwrócił wzrok na słońce, jakby chcąc wiedzieć, czy długo też jeszcze chodzić będą po dworze te uprzykrzone kokoszki? Wtém szmer jakiś na drodze zwrócił jego uwagę, obejrzał się, i w radosnych susach, poszczekując wesoło, pobiegł na gościniec, zostawiając za sobą trawnik i kury, które w tój chwili zdawały się nie obchodzić go wcale.

Drogą szedł chłopczyk w niewarowém ubraniu, słomkowym kapeluszu na głowie, niosąc książki pod pachą. To Kazio, który w tój chwili schyla się do łaszącego mu się psiaka, i głaszcze go pieszczotliwie, co Figielek przyjmuje radosnym skowyczeniem.

Chłopczyk urosł bardzo przez te dwa lata, a twarzyczka jego miała wyraz rozumny i poważny. Dochodził właśnie do domu, gdy w progu stanęła dziewczynka lat trzynastu może, blada i wysmukła, istny portret Tereni.

— Jadwiniu — rzekł chłopczyk, zbliżywszy się do niej — p. Grubski kazał ci powiedzieć, że ta biała róża zakwitła dziś rano, pyta się, czy i twoja już ma kwiaty.

— Czemużeś nie powiedział, że moja już przed dwoma dniami zakwitła — rzekła, zadowolona widocznie tęp pierwszeństwem.

— Bo nie wiedziałem o tęp, tyle mam innych rzeczy na głowie, czy podobna, abym myślał o różach — rzekł z powagą. — Przecież od wakacyj mam iść do szkół, muszę się przysposabiać, aby zdać dobrze egzamin.

— Nie bój się, zdasz z pewnością — odezwał się za Jadwinię Janek, który nadszedł na ostatnie słowa chłopczyka.

— Łatwo ci to mówić, Janku, gdyś dostał promocyę do piątej klasy, ale ja się boję jednak, chociaż mnie i pan Grubski zapewnia, że pójdzie mi dobrze ten straszny egzamin.

Janek wysunął się przed Jadwinię i usiadł na schodkach przed domem, biorąc na kolana Figielka, ucieszonego bardzo tęp zaszczytem.

Janek przez te cztery lata, odkąd straciliśmy go z oczu, tak wyrósł i zmężniał, że trudno byłoby w nim poznać owego małego chłopczka; piękne tylko rozumne oczy, oczy matki, przypominały dawnego Janka. Twarz chłopca wyrażała energię i silną wolę, ruchy miał swobodne i pewne siebie, chociaż nie bez pewnego wdzięku i szlachetności. Nie było w nim nic z tęp rubasznęj śmiałości, którą to przybiera niektórą młodzież w tym wieku, sądząc, że to dodaje powagi i dojrzałości. Głaszcząc psa jedną ręką, drugą wyciągnął ku Jadwini, prosząc, aby zajęła przy nim miejsce, a potem zwrócił się do brata i rzekł:

— Nie martw się, mój Kaziu, przedwcześnie, pracujesz i uczysz się pilnie, więc w każdym razie nie będziesz sobie miał nic do wyrzucenia. A teraz idź na podwieczorek, który

Ewcia na dziesięć zamków zamknęła przed mojm łakostwem, albowiem przysmak to nielada, poziomki z mlekiem.

Natura dziecięca, skłonna zawsze uganiać się za łakotkami, przemogła i w Kaziu, zapomniał na chwilę o egzaminach, i przeskoczywszy dwa schodki na raz, znikł w korytarzu.

— Zabawny malec — rzekł Janek — zląkł się o swoje poziomki. Wiesz, Jadwiniu, że to ogromnych zdolności chłopiec, a przytęp pilny, co rzadko w parze idzie. No, siadaj, siostrzyczko, pogawędzimy trochę.

— Nie mogę, mój drogi, wyszłam tylko na chwilę zobaczyć, czy niema szkodników na moim trawniku, bo ani sobie wyobrażasz, jak pragnę, aby był piękny, gdy Terenia przyjeżdżie.

— Cóż tam jeszcze tak pilnego masz do roboty? patrz, słońca już tylko kawałek widać, a ja tak jestem stęskniony do rozmowy z wami, że z każdej chwili radbym korzystać.

— Jutro niedziela, będziemy cały dzień mieli wolny — rzekła dziewczynka, odchodząc niby, a widocznie było, jak chętnie gawędziłaby z ukochanym braciszkiem, który dopiero od trzech dni przybył na wakacje.

— Ha, trudno, idź, idź, moja Jadwiniu, ja wiem, że spełnienie obowiązku musi iść przed przyjemnością — rzekł chłopak podnosząc się z miejsca — i ja pójdę do ogrodu zobaczyć, czy niema szkody w truskawkach; podobno większych łakomców i ciekawców jak czubatki Ewci nie znajdzie na całym świecie.

Rodzeństwo rozeszło się, Jadwiniu udała się do dużego pokoju, w którym kilkanaście dziewcząt zajętych było pracą. Przy jednym podługim stoliku, stojącym przy oknie, sześć z nich robiło koronki, wprawdzie niezbyt cienie i delikatne, ale gustowne i trwałe. Przy nich stała w tęp chwili Tola, oglądając robotę, i robiąc uwagi, gdzie należało. Przy drugim oknie dwie dziewczyny zajęte były białem szyciem, przytęp opowiadały sobie coś półgłosem, śmiejąc się wesoło. Inne dziewczęta haftowały na muslinie czepeczki, a szło im to tak wprawnie, że miło było patrzeć, jak igły migały w ich rękach.

Przy dużym stole, który stał na środku, Hanka, przy pomocy znajomej nam Justysi, upinała jakąś wełnianą suknię. Na twarzy dziewczęcia był rumieniec zmęczenia, widocznie śpieszyła się, aby przed zupełnym zmierzchem wykończyć, gdyż właśnie w tęp chwili Tola kazała dziewczętom składać robotę i chować ją na jutrzejsze święto. Ruch i gwar powstał w pokoju, jakkolwiek pilne to były pracownice, ale wszystkie młode i pełne życia, nie dały więc sobie dwa razy powtórzyć tego rozkazu. Tylko Justysia stała wiernie przy Hance, i ani się obejrzała na wesołe swe towarzyszki, przypatrywała się pilnie robocie, poświęcając jęj całą uwagę. Gdy wszystko było już pochowane i posprzątane, dziewczęta ucieszyły się i stanęły jedna przy drugiej, jakby oczekując na coś. Tola zbliżyła się do Hanki.

— Czy prędko skończysz? — zapytała — może zwolnisz Justysię, a ja ci przy lampie pomogę do wykończenia.

— W tęp chwili — odpowiedziała Hanka, nie odchyłając się od roboty — Justysia ciekawa właśnie, jak się robi to podpięcie, ale za minutę będzie już wszystko skończone.

Jakoż istotnie w chwil parę Hanka strząsnęła wykończoną suknię, a dziewczęta jednogłownie pochwaliły, że zrobiona jest ślicznie i zgrabnie, Justysia powiesiła ją na wieszadle, z niemym podziwem przyglądając się robocie swęj pani. Teraz Hanka i Tola ukłękły, a za ich przykładem wszystkie dziewczęta, i odmówiono z przejęciem modlitwy wieczorne i pacierz, pocztęp wszystkie wybiegły przed dom, gwarząc wesoło. Jedne poszły do domu rodziców, których miały w Zambinie, po drugie z dalszych wiosek przyjechał ojciec lub brat, aby je zabrać na niedzielę, trzy tylko pozostały, gdyż były to sieroty, i te stałe mieszkaly w domu p. Wolskiej. Babunia i p. Krystyna były w sklepie, Jadwiniu i Ewcia w swoim pokoiku składały kajety i książki, ukończywszy lekcyę na poniedziałek.

— Teraz idę do kuchni — rzekła Jadwiniu — trzeba po-



mówić z Magdusią o kolacyi, a potem pójdę poszukać Janka, który się pewnie nudzi gdzie w kąciuku.

— Nudzą się tylko próżniaki — rzekła z powagą Ewcia zadowolona, że mogła wypowiedzieć to, co mówił niedawno wuj Kazimierz — więc Janek nudzić się nie może. Ja też muszę iść do gospodarstwa, moje kochane kurki używają pewnie jeszcze przechadzki, trzeba je namówić do spania.

— Naturalnie, bo jutro wyglądałyby mizernie — rzekła Jadwinia, biorąc klucze z koszyczka.

— Tobie bo się zdaje, że kury to mają żelazne zdrowie, i wszystko im jedno, choćby nie spały — odpowiedziała Ewcia, idąc za starszą siostrą.

I dwie gosposie wyszły z pokoju.

Hanka z Tolą udały się do sklepu. Było tu teraz na co spojrzeć; cały sklep założony i zastawiony towarami, a chociaż największy pokój obrócono na niego, okazało się za mało jeszcze miejsca, i musiano po roku przybrać drugi, w którym znajdowały się gotowe do ubrania rzeczy. Gdy dziewczęta weszły, nie było z kupujących nikogo, babunia robiła pończoszkę, siedząc na swym wygodnym fotelu, a p. Krystyna czytała głośno jakiś dziennik, widocznie napotkała ważną wiadomość, bo zbliżyła się do okna, gdyż mrok zaczynał już przyćmiewać światłoienne.

— Och, mateczko, niewolno — zawołała Hanka, podbiegając do matki — słyszałam od matusi może tysiąc razy, że oczy się psują, gdy się czyta o zmierzchu.

— I ja to słyszałam od cioci — rzekła Tola — i dla tego przerywamy dalsze czytanie.

— A właśnie też skończyłam, moje opiekunki kochane — rzekła z uśmiechem p. Krystyna — wstydzę się jednak, żeście mnie na gorącym uczynku złapały. Czego się innym wzbrania, tego się samęj nie czyni, ale parę wierszy tylko było do dokończenia, a przy oknie można to było przeczytać bez szkody dla oczu.

— Niechże mateczka i babunia wyjdą teraz trochę na świeże powietrze — rzekła Hanka, całując ręce matki — na dworze cudownie pięknie, to konieczne dla zdrowia.

— Dobrze, panie doktorze — rzekła babunia, składając pończoszkę i podnosząc się z miejsca — idziemy natychmiast za radą tak zbawienną.

— My zostaniemy teraz w sklepie — rzekła Tola.

— Nic z tego, kochanko — odpowiedziała babunia — pójdziemy wszyscy, możemy chodzić koło klombu i w bliskości domu, zobaczymy więc, gdyby kto przyszedł z kupujących.

— I tak dobrze, babuniu; a więc idźmy, nie tracąc czasu, bo myślę, że dziś, jako przy sobocie, będzie jeszcze dużo zająca w sklepie, tylko trochę później.

— O, niezawodnie, ale będą to dość nudne sprzedaże — rzekła Hanka — jedna będzie chciała łokieć tasiemki, druga dwa guziki, a już co mydła, to sprzedamy najwięcej. Każdy się przecie umyć musi w niedzielę.

— Nie obmawiajże, Hanko, sąsiadów — rzekła Tola, otwierając drzwi przed idącą babunią — bo przecie w Żabinie myją się ludzie codzień, nie widziałam nigdy zasmolonego nikogo.

Gdy na drugi dzień przed wieczorem zasiedli wszyscy przed domem na ławkach, które były dziełem rąk wujcia i małego Kazia, Hanka, spojrzawszy w stronę starego dworku, rzekła z tajonem westchnieniem.

— Już naszego dworku ani śladu niema, toby dziś poznał w tych okazałych budynkach, w tym dworze ogromnym, naszą skromną dawną siedzibę.

— Jabym zawsze poznała — rzekła Jadwinia — bo chociaż zmienili wszystko, wszystko przewrócili, został jednakże trawnik zielony i lipa Tereni.

— I ogród został — rzekł Kazio — a przy ogrodzie buda Warty, ale jaka piękna, istny pałacyk.

— A jakie też prześliczne postawili kurniki, mateczko, to doprawdy jak żyje takich nie widziałam — mówiła Ewcia, oglądając się mimowolnie w stronę swoich niziutkich, słomą krytych drewnianych budynków.

(d. c. n.)

Niteczka Aryadny (Łania).

ca	o	ka	eik	dno	mięj	gdzieś	się
a	swie	nie	tru	le	sce	wnet	ro
nie	nas	tak	dwie	by	i	sze	dzi
nu	się	a	człek	cza	rzył	mek	roz
ry	dno	my	do	Wiel	sem	się	do
ła	za	gra	kie	wie	wtóm	ot	i
nie	chać	wnich	ni	ki	rzył	gość	dzi
sun	cia	a	ca	wiel	nie	dom	wcho

Czarodziejska sztuczka.

(Różyczka polna).

Rybak Otton.

Odjąć zwierzę zimnokrwiste, a zostanie zwierzę czworonożne i dźwięk.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Szarady:

Po — do — le.

Łamigłównki gwiazdy:

Omsk—Ohio—Okop—Osie—Ogar—Ogon—Ongi—Obnisk  
Kopernik.

REŚĆ: Bohdan Zaleski, wspomnienie pośmiertne (z drzew.) — Do serc młodych p. Maryą Ilnicką. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Miasto Tarya (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.) — Łamigłównki, rozwiązania. W Dodatku: Kotki (z drzew.) — Lalka ukarana p. Zofią B. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Mały artysta p. Jutrzenkę. — Łamigłównki, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



## K O T K I.

Mama pozwoliła Helence i Jadzi wybrać sobie małego kotka z licznej rodziny kocięj, której nie mogąc trzymać u siebie, zamierzyła rozdać sąsiadom i znajomym. Dziewczynkom wolno było zatrzymać tylko jednego i właśnie wybór jego sprawił im wielki kłopot.

— Ja wybieram białego — mówiła Helenka — niema kotów ładniejszych, jak białe.

— To prawda — odrzekła młodsza, Jadzia — ale ja się tak przywiązałam do mego szarego. On taki łagodny, nigdy mię nie udrapnął, chociaż go skubię i ciągnę przez figle za ogonek. A co prawda, to i tego w czarne łatki, co siedzi w koszyku, bardzo mi żal. Doprawdy, sama nie wiem... chyba najprędzej oddałabym twego białego,



bo mu nie mogę zapomnieć, jak mi rączkę zadrapał, że do téj chwili mam ślad. Mama nie pozwala mi go nigdy ruszać.

— Nie miał cię zadrapać, kiedyś mu przez długi czas spokoju nie dawała i strofowana przez mamę i mnie, nie przestawałaś mu się sprzeciwiać, aż w końcu podniosłaś go za ogon do góry; biedny koteczek musiał się też bronić przed twemi bolesnemi figlami. A dla czego mnie nie drapie? Bo ja mamy słucham, nie drażnię go i chociaż całemi godzinami biega za szpulką od nici, którą mu na sznurku puszczam, ani razu krzywdy mi nie zrobił.

— Już ja wolę mego szarusia i na twego nie przystanę, bobym się z nim nigdy bawić nie mogła.

— Biały ładniejszy — obstawała Helenka, a widząc upór małej siostrzyczki, pobiegła do mamy, aby zdecydowała, który ma zostać, bo one nie mogą się zgodzić.

Mama zganiła bardzo tę ich niezgodność i powiedziała, że jeżeli w tak małej rzeczy nie mogą się zdecydować na jedno, to ażeby kotki nie były powodem do sporu w przyszłości, rozda je wszystkie.

Helenka wróciła z odpowiedzią mamy, wtedy Jadzi, która miała w gruncie dobre serce, tylko skłonną była do sprzeczek, żal się zrobiło biednej kotki, matki kociąt,

gdyż ta na ich niezgodzie najwięcejby straciła, a obie dziewczynki bardzo ją lubiły. Ustąpiła więc jako młodsza i nie mająca słuszności, uznała swą winę w sprawie zadrapania i przystała na wybór Helci; lecz teraz trzeba było przyzwolenia mamy, którą dziewczynki obraziły tak swym sporem, że nie pozwalała żadnego zostawić.

Pobiegły coprędzej do niej, aby przeprosić i prośbami skłonić do zmiany postanowienia. Powiedziały, że się już zgodziły na białego, i że się nigdy o niego sprzeczać nie będą.

Dobra mama widziała, że córeczki chcą chwilowe zapomnienie się nagrodzić wzajemną zgodą i pozwoliła kotka zostawić a po wspólnej naradzie nazwano go Maciusiem.

K. Sz.

## LALKA UKARANA.

Pokój szkolny. Osoby. *Kazio* lat 6, *Zosia* lat 7. Kazio siedzi nad stolikiem i układa żołnierzy, Zosia wnosi zasmoloną i roztarganą lalkę.

ZOSIA. Mój Kaziu kochany,  
Poradźże mi sam,  
Co z naszą córeczką  
Biedna robić mam?  
Uczyć się nie chciała,  
Nie pisze, nie szyje,  
Dziś się nie czesała  
I rączek nie myje.

KAZIO. Ja łatwo poradzę,  
Poprawię córeczkę,  
W kąciku posadzę,  
Przyniosę różeczkę.

ZOSIA. Przecież nie pozwolę,  
By nasza Kasieczka  
Przez ciąglą swawolę  
Była głupiuteczka.

KAZIO. Nie, nie, nie daruję,  
Ukarzę ją sam,  
Tak jak zasługuje,  
Różeczką jej dam.

(Wychodzi i przynosi różgę, stawiają stołeczek, chcą bić lalkę, wtém słycać dzwonek, wzywający na obiad).

ZOSIA (*przestraszona*).

Kaziu! my tu gadu, gadu,  
A tu dzwonią do obiadu!  
A jam lekcyi nie umiała,  
Ćwiczenia nie napisała.

KAZIO. I mój przykład nie zrobiony!  
A tatko powiedział wczora,  
Ze jak będzie pomyłony,  
To mnie zamknie do wieczora.

ZOSIA. Więc chyba pójdziem do mamy,  
I prosić będziem ze łzami,  
Powiemy, że ją kochamy,  
Że winę czujemy sami.



KAZIO. O! i mama nam daruje.  
 Myśmy córeczkę bić chcieli,  
 Bo laleczka nic nie czuje,  
 A mybyśmy łezki leli.

ZOSIA. Mama daruje, Kazieczku,  
 Lecz dla tego, kochaneczku,  
 Że mamy serec łaskawsze.  
 My zaś, pamiętajmy zawsze,  
 Co Bóg kazał, aby było :

„Nie czyn tego drugiemu, co tobie niemiło”.

*Zofia B.*

## NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANĄ.

(Dalszy ciąg).

Królewicz Pióropuszek, jak już każdy zgaduje, prosił o rękę królowny Perełki, a król Dobromir zbył go tąż samą dowcipną dyplomacją, co i braci, królewiczów Kryształka i Zielonkę. Musiał więc i Pióropuszek nos na kwintę spuścić, i wynosić się, jak niepyszny, zabierając swoje dary. Znowu trąbki zagrały i ostatni królewicz opuścił zamek ze swoim orszakiem. Cisza głęboka zaległa dokoła.

Król Dobromir mógł sobie w końcu dopalić fajeczki, nikt mu nie przeszkodził. Potem poszedł do sali, gdzie siedziała królowa Miłosława z córkami. Trzy królowny ciekawie spojrzały na ojca; gdy królewicze przed odjazdem żegnali się z nimi, poznały odrazu z ich nosów popuszczanych, że coś zajść musiało, ale co? Były z nadto dobrze wychowane, żeby śmiały pytać o to ojca, postanowiły więc czekać cierpliwie, aż król zwierzy się Abrakadabrusowi, i wtenczas dopiero szturm przypuścić do swego kochanego mistrza. Wiedziały dobrze, że jeżeli tylko będzie można, to on się da uprosić i powie im wszystko, gdyby zaś nie można było, no, to jako dobrze wychowane panienki, przewyciężyłyby swoją ciekawość.

Ale nie potrzebowały królowny czekać długo, ani ciekawości swój przewyciężać, bo król Dobromir nie robił tajemnicy przyd nikim z tego, co się stało. Naprzód nawet zwrócił się do córek, i rzekł:

— Zgadujcie, dzierlatki, o którą z was oświadczył mi się dzisiaj królewicz Kryształek.

Iskierka zarumieniła się po same uszki, a dwie jój siostry, Jagódka i Perełka, zawołały razem:

— O Iskierkę, niezawodnie o Iskierkę!

— Cóż to za domyślne dziewczęta — rzekł król Dobromir, uśmiechając się — ale i królewicz Zielonko także się o jedną z was oświadczył, nie powiem o którą...

— O Jagódkę! — wykrzyknęły Iskierka i Perełka.

— A no, to już pewnie zgadniecie, o którą znów oświadczył się Pióropuszek.

— O Perełkę! — wołały znów królowny Iskierka i Jagódka.

— Otóż widzicie — mówił król Dobromir — w okropnym jestem kłopotcie, bo bardzo tych trzech królewiczów pokochałem, a jednak nie mogę was wydawać za

takich niezgodnych braci. Niezgoda w rodzinie, to rzecz okropna, niema większego nieszczęścia. Chybaby się pogodzili. Muszę też zasięgnąć rady mądrego Abrakadabrusa, bo już jeżeli on nie znajdzie na to sposobu...

— O, znajdzie! niezawodnie znajdzie sposób! — wołały trzy królowny razem — mistrz Abrakadabrus ich pogodzi.

Królowa Miłosława słuchała w milczeniu, nie odzywała się, tylko głową kiwała potakująco, bo i ona także ufała bardzo w mądrość Abrakadabrusa. Posłano też zaraz pazia, ażeby poprosił mistrza na ważną naradę. Abrakadabrus siedział w swojej pracowni nad ogromną księgą pargaminową, skrzywił się troszeczkę, gdy paż go wezwał na pokoje królewskie, bu nie lubił się odrywać od nauki, lecz poszedł w tej chwili, zaznaczył tylko kartkę w księdze swojej ładnym haftowanym znaczkiem, który mu wyszyła na imieniny królowna Jagódka.

Gdy król Dobromir zaczął opowiadać o swoim kłopotcie, Abrakadabrus uśmiechnął się, skinął głową i rzekł:

— Wiem ja to wszystko, Najjaśniejszy panie, i zdaje mi się, że rozumiem, z kąd pochodzi niezgoda królewiczów. Czy uda mi się ich pogodzić, za to nie ręczę, ale spróbować nie zawadzi. Muszę jednak rzeczy zgłębić na miejscu, więc wybiorę się w podróż i odwiedzę każdego z trzech królewiczów w jego rezydencji. O drogę rozpytałem się u dworzan, bo przeczuwałem, że do tego przyjdzie.

— O, dobrze, dobrze, kochany mistrzu! — wołały królowny, skacząc i klaszcząc w rączki — jedź jaknajprędzej, ty ich z pewnością pogodzisz.

— Jedź, mistrzu, jedź — powtórzyli król Dobromir i królowa Miłosława. Abrakadabrus powstał, ukłonił się z uszanowaniem obojgu królestwu, królownom skinął głową z uśmiechem i poszedł niezwłocznie wybierać się w drogę. W godzinę potem wsiadł na muła, uwiązał przy siodle tłumoczek podróżny i truchcikiem wyjechał z dziedzińca zamkowego.

Król Dobromir byłby mu chętnie dodał świetny orszak dworzan na dzielnych rumakach, nie pożałowały nawet i dworskiej karety, ale Abrakadabrus tego nie lubił, zawsze tak podróżował sam jeden z małym tłumoczkiem na swoim pocziwym, spokojnym mule.

A był to człek naprawdę bardzo mądry ten Abrakadabrus; nie tracił on czasu, gdy trzej królewicze bawili na dworze Dobromira, zapoznał się z ich dworzanami, musiał się od nich różnych rzeczy podowiadywać i znał już dokładnie całą tajemnicę niezgody synów króla Bożydara. Nim on dojedzie do ich rezydencji, my opowiemy tymczasem czytelnikom naszym, z kąd ta dziwna niezgoda pochodziła.

Król Bożydar kochał bardzo swoich trzech synów i ciągle nad tem przemyślał, jakimby to sposobem tak zrobić, ażeby oni wszyscy trzej po nim mogli panować. Doradcy przekładali mu, że to być nie może, że trzeba jednego mianować następcą, ale on nie chciał się na to zgodzić, bo mu żal było dwóch innych. Niektórzy mu doradzali, ażeby rozdzielił pomiędzy nich swoje państwo, ale i na to Bożydar przystać nie chciał, bo mu znów żal



# MAŁY ARTYSTA.

było królestwa. I tak biedny król Bożydar łamał sobie głowę nad tém i ciągle powtarzał:

— Ach! żeby to oni chcieli zgodnie panować we trzech! wtenczas dopiero umarłbym spokojny.

Przyszło mu nakoniec do głowy, ażeby synów wystawić na próbę, więc przywołał ich do siebie i w obec całego dworu rzekł do nich:

— Moi kochani synowie; radbym przekonać się za życia, jak to wy sobie będziecie radzili, gdy mnie już nie będzie. Na próbę oddaję wam w posiadanie wyspę Atlantę, w której są nagromadzone nieobliczone skarby. Urządźcie tam sobie rezydencją, panujcie zgodnie i używajcie skarbów wspólnie. Ja do waszych rządów mieszać się wcale nie będę, róbcie co chcecie, daję wam zupełną wolę.

Królewicze ucieszyli się niezmiernie, bo młodzież zawsze sobie wyobraża, że niema większego szczęścia, jak mieć wolę i swobodę, rządzić się bez żadnego nadzoru starszych. Ucałowali rękę ojca i niezwłocznie wybrali się do swojego państwa, zabierając z sobą licznych dworzan.

Wyspa Atlanta, jak każda wyspa na świecie, otoczona była dokoła morzem. Król Bożydar gromadził tam od czasów niepamiętnych ogromne skarby, z trzech królestw przyrody złożone, to jest, i mineralne, i roślinne, i zwierzęce. Królewicze od dzieciństwa mieli szczególne upodobanie, Kryształek do minerałów, Zielonko do roślin, a Pióropuszek do zwierząt.

Gdy przybyli na miejsce, zaraz zaczęli oglądać te wszystkie bogactwa i nacieszyć się nimi nie mogli. Kryształek nieustannie siedział w składach, gdzie było niezmierne mnóstwo kosztownych metali i drogich kamieni. Zielonko ustawicznie przechadzał się po cieplarniach i ogrodach wiszących, gdzie rosły najpiękniejsze rośliny, z różnych stron świata pochodzące. Pióropuszek ciągle zaglądał do zwierzyńców wspaniałych, w których zgromadzone były najrozmaitsze zwierzęta, z całego świata sprowadzane.

— Wiecie co — powiedział pierwszy Kryształek do braci — czy nie najlepiej będzie, skoro ojciec nam to wszystko darował na własność, ażebyśmy się podzielili temi wspaniałemi skarbami. Każdy weźmie to, co najlepiej lubi, ja zabiorę same minerały, Zielonko rośliny, a Pióropuszek zwierzęta.

— Doskonale! — zawołali tamci obaj — jeżeli to wszystko nasze, to mamy prawo podzielić się, jak nam się podoba.

— A więc dobrze — rzekł Kryształek — podzielmy się zaraz, każdy sobie zbuduje osobny pałac, zabierze swoje skarby i będziemy wszyscy zadowoleni.

— Tylkoż już pamiętajcie — mówił Zielonko — żeby każdy trzymał się swojego i nie zazdrościł innym. Ja rzekam się chętnie złota i drogich kamieni, zostawiam to wszystko Kryształkowi, zwierzyńce niech sobie trzyma Pióropuszek, a wy za to, bardzo proszę, żebyście nie zachciwiali moich ukochanych roślin.

(d. c. n.)

W Norymberdze, mieście niemieckiem, mieszkało niedługo, bardzo dawno, dwoje sierotek u swój babuni. Marynia, młodsza siostrzyczka Wilusia, była od kilku lat chora i nie ruszała się z fotela, na którym całe dni przeleżała, bo jej się znudziło ciągle leżeć w łóżeczku.

Babka z robotą w rękę siedziała przy wnuczce, spoglądając ze smutkiem na jej bladą twarzyczkę. Wilus zabawiał jak mógł siostrzyczkę, choć mu to z trudnością przychodziło, bo w tych czasach zabawek nie było; nie wynaleziono jeszcze tych ślicznych laleczek, tych dziarskich koników i walecznych żołnierzy, któremi gwiazdka obdarza teraz grzeczne dzieci. Ale jednego razu przyszło mu na myśl, aby wystrugać z kawałków drzewa koniki, krówki, baranki i inne zwierzątka, które przed Marynią ustawiał.

Dobry braciszek codziennie takie wyrabiał zabawki dla swojej ukochanej siostrzyczki, i tak się w to wprawił, że po jakimś czasie wcale ładne rzeczy wyrzynał. Stary Moritz, właściciel domku, w którym to kochające się rodzeństwo mieszkało, przychodząc po komorne do babki, zauważył robotę chłopczyny i zapytał go, czy nie chciałby strugać tych zabawek na sprzedaż. Wilus z radością na to przystał. Wyrzynał całemi dniami coraz ładniejsze zabawki na sprzedaż i oddawał je Moritzowi, który się tém zajmował. A że wtenczas jeszcze takich rzeczy wcale nie znano, tak się podobały, że wszyscy chętnie je kupowali i dobrze za nie płacili, z czego skorzystał nieuczciwy człowiek, bo tylko połowę pieniędzy oddawał biednym dzieciom, resztę zabierając dla siebie.

W kilka lat potem stary Moritz umarł i Marynia wyzdrowiała, a Wilhelm na własną rękę założył fabrykę zabawek dziecinnych i przekonał się, że przedtem go oszukiwano. Rodzice przysyłali swoich chłopców na naukę do niego i tym sposobem Wilusowi zawdzięczamy pierwszą fabrykę zabawek w Norymberdze.

*Jutrzenka.*

### zadanie konikowe. (Różyca polna).

Strze	go	strze
Bóg	*	żo
ne	że	Pan

Odczytać znane przysłowie.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 16-go.

#### Łamigłówka w kwadraciku.

F R A K  
R A M A  
A M U R  
K A R A



## Skrzynka do listów.

**Kuropatwa z nad Narwi** trafnie odgadła łamigłówkę. Co do odpowiedzi na zadanie, to jeszcze na czas jakiś pozostać musi tajemnicą...

**Wyrwidusze** dziękujemy bardzo za wiadomość, że ta wyborna szarada nie była nigdzie drukowana. Niedawno mieliśmy z tego powodu nieprzyjemność i nie chcielibyśmy, aby się coś podobnego powtórzyło. Komety podobno zawód zrobiły astronomom i wcale się nie pokażą w tak świetnej postaci.

**Figielek** nie zrozumiał Kazia, który nigdy kolegów nie posądzał o lenistwo; wie on z własnego doświadczenia, jak nauki szkolne czas pochłaniają i żartem tylko im wymawiał, że na niego nie łaskawi. Tém więc wdzięczny jest tym, którzy pomimo zajęć o jego zadaniach pamiętają. Berze Słuckiej i Skoczki przesyłamy serdeczne pozdrowienie, na odpowiedź osobną braknie dziś miejsca, kochane dzieci na ten raz nam wybaczą.

**Kamyk z Krakowa** bardzo dobrze ułożył zadanie konikowe, niech tylko cierpliwie czeka, a ujrzy je wydrukowane.

**Śnieżycy i Krasnolice**, jak widzimy z liścików, zrozumiały doskonale rady zawarte w ładnym wierszyku p. Niemojowskiego, nie wątpimy, że i dziś się do nich stosują. Autor nie mógł wylizować wszystkich pseudonymów, których zresztą ciągle przybywa, ale może znów kiedy drugą odezwę napisze i nie pominie w niej Krasnolicy i innych kochanych korespondentek.

**Słowiczek** niesprawiedliwy jest względem Kazia, który o wszystkich kolegach pamięta, a jeśli każdego z osobna nie pozdrowia to jedynie dlatego, że w Skrzynce do listów zabrakłoby na to miejsca. Słowiczkiemu dziękuję bardzo za pamięć i za uścisk ptasięj łapki wzajemny przesyła.

**Czarnulki** żał nam bardzo, że tak biedaczka chorowała i prosimy, aby słuchała przepisów lekarza i nie trudziła się nawet pisanem dłuższych liścików. Niech tylko w kilku słowach kochana Czarnulka nam doniesie o swoim zdrowiu. Rozwiązanie trafne, a łamigłówa później będzie wydrukowana.

**Gołąbka biała** przekonała się, że początek tylko jest trudny, a teraz zapewne stale już pisywać będzie, liściki jej, ładnie i starannie pisane, równie są dla nas miłe, jak dla niej nasze odpowiedzi.

**Muchołówka** dobrze bardzo ułożyła z prozy poezją. Poznaliśmy to odrazu z porządnie napisanego liściku, że Muchołówka musi być pilna i pracowita dziewczynka, a gdy już w tym wieku o tém myśli, aby się stać pożyteczną, pewnie z wiekiem to piękne zadanie spełni.

**Kalina** słusznie powiada, że każda panienska potrafiłaby pisać ładną kaligrafją, żeby tylko troszkę nad tém popracować chciała. Szkoda jednak, że panienski w ogóle tak mało o to dbają, i dlatego, ile razy się spotkamy z prawdziwie ładnym pismem, zawsze je z przyjemnością wielką wyróżniamy.

**Polce** wolno się tak podpisywać, ale nazwa ta nie może być uważana za pseudonym, bo stosowna jest dla każdej z czytelniczek.

**Stokrotka z Zofiówki** będzie miała niezadługo powieść historyczną w „Wieczorach“. Obecnie musimy kończyć jaknajśpieszniej „Prawdziwe bogactwo“ i z tego powodu brak miejsca na inne przedmioty. Łamigłówa, o ile będą dobre, zamieścimy.

**Stokrotkom** z różnych okolic, siostrzyczkom swoim, przesyła pozdrowienie Stokrotka z Zofiówki.

**Niezapominajka biała** uskarża się na ostrą odpowiedź! Nie możemy już sobie dziś przypomnieć tej odpowiedzi, a na odszukanie jej czasu braknie, ale coś nam się nie zdaje, aby ktokolwiek w „Wieczorach“ ostrą odpowiedź dostał. Zagadka dobrze ułożona, niech tylko kochana Niezapominajka będzie cierpliwa, bo wielkie mnóstwo mamy wcześniej nadesłanych.

**Cyganecka** wynagrodzi sobie to opuszczenie, które było konieczne, bo nauka zawsze przedewszystkiem iść powinna.

**Wszystkim**, którzy nam przesyłali życzenia z powodu Świąt serdecznie dziękujemy i przesyłamy wzajemne.

„Kochany Zygmsiu! Miłą mi sprawiłeś niespodziankę, zapytując o mnie. Ja rzeczywiście długo nie odzywałem się do naszej kochanej redakcyi, ale teraz znowu pisuję, tylko pod pseudonymem. Odgadnij, jaki sobie obrałem. Donieś, ile masz lat? Stefus z Lecieszyna”

„Kochany Dzieciol! Dziękuję ci za łamigłówkę i w zamian ofiaruję inną. Mnie na imię Wacio, mam lat 12 jestem w gimnazjum w III kl. Słowiczek“. (Dzieciol już donosił, jak się nazywa, a po dwa razy tych samych wiadomości nie wypada drukować. *przyp. red.*)

„Kochana Jutrzenko! Bardzo mi się podoba twój pseudonym i chciałabym się z tobą za pośrednictwem „Wieczorów“ zapoznać. Donoszę ci, że mi na imię Zosia, mieszkam w Warszawie, braci nie mam, tylko siostrę młodszą życzliwa Gołąbka biała“. (Jutrzenka donosiła już o sobie, niech Gołąbka to odszuka w Skrzynce do listów. *przyp. red.*)

„Kochana Trzpiotko! Wiem, że ci na imię Helenka i że masz lat 10. Dowiedziałam się o tém od pewnej tajemniczkiej osobki. Odpowiedz mi tylko proszę, czy twoja siostra pisuje do „Wiec.“ i pod jakim pseudonymem Twoja Róża Dzika”

„Kochana Różo biała! Jestem bardzo ucieszona twoim liścikiem i donoszę ci, że skończę w Lipcu lat 12 i mam 3 siostrzyczki. Twoja Róża Dzika.”

**Brzózce Srebrnej i Czajce z nad Bystrzycy** zasyła pozdrowienia Róża Dzika.

**Oleńce ze Żmujdzi** przesyła pozdrowienie Stokrotka z nad Granicy i donosi, że się też nazywa Olenia.

„Kochana Konwalio! Już wiosna nadeszła, moja droga, więc czas już, czas, ażebyś wypuściła listki i kwiatki, a rozwinąwszy się była tak grzeczna i ułożyła dla nas zagadkę, życzliwe Aurykla i Trawka (Byle się miejsce na tę zagadkę znalazło! *przyp. red.*)

**Panu Niemojowskiemu** dziękuję Aurykla za wspomnienie jej w ładnym wierszyku i za przychylne rady, przyrzeka zawsze je mieć w pamięci i podług nich postępować, a Trawka, chociaż o niej nie wspomniał, tylko o jej siostrzyczce, przesyła mu łamigłówkę. (która później będzie wydrukowana *przyp. red.*)

„Kochana Niezapominajko z nad Narwi! Bardzo mi się podoba twój pseudonym i chciałabym się z tobą chociaż listownie zapoznać. Ja mam lat 13 na imię mi Janinka, mieszkam w Piotrkowie chodzę na pensyą do III klasy. Donieś mi co o sobie, poleca się twój pamięci Truskawka

„Kochana Wielkopolanko. Bardzo się cieszę, że też czytujesz Wieczory. Ja bardzo kocham Wielkopolską, bo moja Babunia tam mieszka i często z Mamą i siostrzyczkami do niej jeżdżę, Mnie na imię Ewcia, mam lat 10. Pszczołka Litewska. (Wielkopolanka nazywa się Helena i ma lat 15)

## Numer 8-my.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,  
CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO, WYSZEDŁ I ZAWIERA:

1. Pogadanki o higienie. O pielęgnowaniu skóry p. Stanisława Kamińskiego. (Ciąg dalszy. — Patrz Nr. 1).
2. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida. (Ciąg dalszy. —
3. Głosy Nauczycieli i Wychowawców. I. Kilka uwag mogących się przydać przełożonym szkół i nauczającym, podanych przez A. I.
4. Dwie lekcye składni łacińskiej. O spójniku cum czyli o trybach i czasach używanych w zdaniach ubocznych z tym spójnikiem. p. S. W.
5. Krytyka i bibliografja: a) Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 4-ch tomach obejmujące powieści, poezye, podróże, literaturę i rozmaitości, przez Sewerynę z Zochowskich Pruszkową (Duchnińską). b) Przegląd literatury zagranicznej.
6. Kronika przez Bolesława Maryckiego. —
7. Z prasy i książek.